NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 27 maja 1916. Nr. 22.

Uroczystości narodowe w Warszawie.



Pochód Trzeciego Maja przed pomnikiem Mickiewicza na Krakowskiem Przedmieściu.

Uroczystości narodowe w Warszawie.

Warszawa dała nowy dowód swej siły żywotnej i gorących uczuć patryotycznych. Dowiodła, że nie tylko potrafi pracować realnie nad budową gmachu narodowego, ale i czuć gorąco, a ten sentyment narodowy, który niejednokrotnie zalewał krwią bruki ulic, łączy się właśnie z praktycznym, organizacyjnym zmysłem.

Pomimo tak ciężkich warunków ekonomicznych i politycznych, które przygniatają dziś życie stolicy Polski, potrafiła Warszawa dokonać wielkich rzeczy: w ciągu kilku tygodni po ustąpieniu Rosyan stworzyła polskie szkolnictwo i dwie wyższe uczelnie! Armia niemiecka zastała tam nie jakąś zdezorganizowaną wieloletnim uciskiem rosyjskim masę, ale silny organizm narodowy, świadomy swych celów, który od razu ujął ster wszystkich dziedzin życia społecznego.

Wymownym przejawem tej wspaniałej organizacyi i uświadomienia narodowego stał się również obchód Trzeciego Maja. Była to nie tylko olbrzymia manifestacya, ale rewia sprawności i solidarności narodowej stolicy Polski.

O obchodzie rocznicy Konstytucyi Majowej w Warszawie pisaliśmy już obszernie w numerze 20 „Nowości Illustrowanych". Dziś zamieszczając dalsze zdjęcia, które dają pełny obraz tego historycznego obchodu, musimy jedynie zaznaczyć, że był on tylko początkiem dalszych uroczystości narodowych, które urządzono w Warszawie w pierwszych dniach maja na rzecz szkolnictwa polskiego. Wystawa szkolna, Święto pieśni na Rynku Starego Miasta, Święto Dzieci, Dzień skauta (o czem piszemy oddzielnie na innem miejscu) — stały się dalszymi ogniwami tej akcyi narodowej, którą prowadzi niezmordowanie Warszawa — budując w najkrytyczniejszym momencie ten fundament każdego narodu — narodową szkołę.

* * *



Święto pieśni w Warszawie: Popis chóru żeńskiego na Rynku Starego Miasta. (Fot. M Fuks, Warszawa)

W uzupełnieniu opisu uroczystości Trzeciego Maja w Warszawie przytoczymy jeszcze najgłówniejsze ustępy przemówień, które najlepiej charakteryzują nastrój, w jakim Warszawa obchodziła to święto narodowe.







Uroczystości narodowe w Warszawie: Pochód Trzeciego Maja. (Fot. M Fuks, Warszawa).

Duchowieństwo katolickie. Duchowieństwo protestanckie. Zbór izraelicki pod przewodnictwem 105-letniego rabina Pelmutera (X).

Przy ruinach kaplicy pamiątkowej w ogrodzie Botanicznym, na których wmurowano tablicę pamiątkową wskrzeszonego Uniwersytetu polskiego i umieszczono odnaleziony krzyż z dawnej kapliczki, wygłosił przemówienie ks. dr. Szlagowski, który powiedział między innemi: „Te ruiny historyczne kaplicy Trzeciego Maja, okolone wieńcem zielonych krzewów, drogie sercu każdego Polaka, a w szczególności sercu Warszawian, są symbolem grobu, w którym spoczywa Ojczyzna nasza.

Kaplica Opatrzności, pomnik odrodzenia duchowego narodu, wotum dziękczynne Króla Jegomości i wszystkich stanów Rzeczypospolitej, obrócona w zwaliska nie czasów rubieżą, ale ręki ludzkiej dziełem, mówi o tem, co było.

Ale ów krzyż pamiątkowy, strącony niegdyś z tego miejsca świętokradzkiem zuchwalstwem przemocy, a przywrócony dziś i panujący nad szczątkami kaplicy, to symbol niespożytej żywotności, którą narodowi daje Wiara... A ten Orzeł Biały w pięciu gwiazd koronie, przez wznowioną Wszechnicę naszą na zwaliskach umieszczony nieśmiertelny Orzeł... będący tu heroldem polskiej wiedzy i polskiego Uniwersytetu znamieniem, mówi o tem, co będzie..."

Podczas uroczystego zebrania w Ratuszu wygłosił głęboko pomyślaną przemowę prezydent Zdzisław ks. Lubomirski, kończąc ją słowami:

„W brzemiennym w następstwa momencie dziejowym przypada nam obchodzić 125 rocznicę. Wierzymy, że odwróci się posępna karta naszej historyi, a patrząc na leżącą przed nami czystą, niezapisaną kartę, dajemy dzisiaj wyraz gnębionym, głęboko utajonym uczuciom. Naród cały w swej zbiorowej woli, na wzór swych przodków, składa głośne świadectwo, że stoi niezłomnie przy spełnieniu swych narodowych dążeń. Wszystkie warstwy, wszystkie stronnictwa polityczne, bez względu na rozbieżność obranych dróg, ale jednozgodne w ostatecznym celu, ożywione jedynem i wyłącznem przywiązaniem do sprawy, miłością do Polski, stają ramię przy ramieniu w duchowem napięciu do uroczystego obchodu. Mózgi nasze i serca przepełnione tylko miłością — miłością, która wiedzie na wyżyny i cuda stwarza. Obok niej niema miejsca dla żadnych innych uczuć.

Polacy święcą rodzime, wewnętrzne narodowe święto, święto zgody, święto nadziei, promieniejące



Święto pieśni w Warszawie: Koncert na Rynku Starego Miasta. (Fot M Fuks, Warszawa)



Z obchodu racławickiego: Banderya z ułanami Legionów na czele. (Fot J Krasowski, Miechów).

jasną przyszłością i oddają zarazem hołd pamięci twórców wielkiego historycznego aktu. Duchy ich unoszą się nad nami w obecnej chwili, te wielkie cienie spoglądają na nas z wysokości tych ścian, z dumą słuszną i z głębokiem wewnętrznem zadowoleniem, że usiłowania zacne na marne nie pójdą, że prawnuki, wierni przyrodzonym przykazaniom, podejmą oddawna nie snutą, ale nieprzerwaną nić ich pracy i, krocząc po wskazanej drodze wytrwają, nie spoczną".

Wreszcie w czasie uroczystego nabożeństwa w Katedrze przemówił ks. Marceli Nowakowski, który omówiwszy znaczenie Konstytucyi Majowej i skreśliwszy cierpienia Polski, zakończył słowami:

„Przypomniano sobie wreszcie wszędy, że i my istniejemy... Przekreślone imię Polski pówraca do życia, powstało z prochu poniżenia i rośnie i potężnieje z dnia na dzień. — Opatrzność czuwa i kreśli drogi przyszłe... W imię tej sprawiedliwości zebraliśmy się tutaj bracia, by przed ołtarzem ojców zawołać: Wspomnij o Panie, co się przydarzyło, wejrzyj, a obacz zelżywość naszą!...

Pamiątkę wielkich poczynań z przeszłości naszej obchodzimy nie z bezmyślnem, a zbytniem weselem, bo nań zawcześnie — ale by ducha podnieść! nie z partyjnością, bo ona nie licuje z pamięcią świętą, nie z nienawiścią, co podzieliła umysły, ale z miłością ku swoim i nie z przekleństwem, lecz z przebaczeniem dla obcych".



Z obchodu racławickiego: Krzyż na wzgórzu Racławickiem, wzniesiony przez okolicznych włościan (Fot. J. Krasowski, Miechów).

Swięto pieśni w Warszawie.

Punktem kulminacyjnym uroczystości majowych w Warszawie na zasilenie funduszów szkolnictwa polskiego było niewątpliwie „Swięto Pieśni" na Starem Mieście. Rynek staromiejski dowiódł, że jako rama artystyczna jest oprawą ze wszech miar odpowiednią dla uroczystych obchodów. Skromnie, ale ze smakiem przybrane były kamienice staromiejskie, z których każda ma coś do powiedzenia, każda posiada swoją tradycyę wiekową. W tej atmosferze wspomnień, wśród murów, okrytych szacowną patyną, której nie potrafiło z nich zetrzeć ani barbarzyństwo ani ignorancya, odbyła się przy pięknej pogodzie jedna z najwspanialszych i najoryginalniejszych uroczystości — Swięto pieśni. Zapełnił się cichy Rynek, zagrały barwami dywanów okna, w których skupiły się głowy ciekawych widzów — i oto w słonecznej ciszy majowego południa zabrzmiał nagle hejnał z wieży katedralnej. Odezwał się z kolei polonez A dur Chopin'a, aby w następstwie ustąpić miejsca popularnym pieśniom Moniuszki i Noskowskiego. I uczyniło się w Rynku swojsko i radośnie. Aż radość przeszła w głębokie wzruszenie, kiedy chór mieszany rozpoczął uroczystą pieśń „Kto się w opiekę". Tłukły się długo słowa tej pieśni o fasady starych domów, a w ich rytm tłukły się jeszcze dłużej serca.

Wreszcie zakołysało się wśród murów „Boże, coś Polskę" — ostatni, potężny, organowy akord tego dnia pamiętnego i tej pamiętnej uroczystości.





Wystawa szkolna na kwestę majową w Warszawie: Uroczystość otwarcia wystawy.
Goście: 1) Prezydent miasta Warszawy ks. Lubomirski, 2) ks. Lubomirska, 3) Prezes Komitetu kwesty majowej bar. Radoszewski. Komitet organizacyjny. (Fot. M. Fuks, Warszawa.)



Uroczystości narodowe w Warszawie: Różne stowarzyszenia i korporacye w pochodzie Trzeciego Maja. (Fot. M. Fuks, Warszawa)



Uroczystości narodowe w Warszawie: Stowarzyszenia gimnastyczne w pochodzie Trzeciego Maja. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

7

A on nadużył tej miłości i bezwzględnego zaufania...

I teraz widzi Krzycki wpatrzone w siebie jasne oczy Hanki i czyta w nich niemy wyrzut, skargę: „czy pamiętasz"?

Wakacye skończyły się i Krzycki wyjechał.

Przy pożegnaniu Hanka płakała rozdzierająco, rozpaczliwie, tak, jakby go już więcej widzieć nie miała.

Pocieszał ją, zapewniał, że nie zapomni, że będzie pisał często, bardzo często, wróci, przyjedzie znowu...

Wierzył wówczas, że dotrzyma tego, co przyrzekał.

Dusza Krzyckiego skażona już była niezdrowem tchnieniem lekkomyślnych uciech i zatruta jadem cynizmu — ale nie był jeszcze człowiekiem złym...

Postanowił sobie święcie, że przyjedzie tu na przyszły rok i oświadczy się Staszyńskiemu o rękę Hanki.

Po wakacyach zjechała na uniwersytet koleżanka Lili z Ukrainy, która pięknością swoją, oryginalnością tualet i zachowania się, kapryśnym, nierównym temperamentem wywołała zamieszanie i rywalizacyę wśród młodocianych, łatwo zapalnych kolegów.

I Krzycki uległ jej urokowi... Pod wpływem zielonych, jak morze, fosforyzujących oczu Lili prysł czar sielauki letniej przeżytej z Hanką...

Jan począł odpisywać Hance coraz rzadziej, coraz lakoniczniej, coraz chłodniej, aż w końcu przestał pisać zupełnie.

I ona, kiedy nie otrzymała odpowiedzi na kilka swoich listów — umilkła, zerwała korespondencyę...

Bez słowa skargi, prośby czy wyrzutu usunęła się z jego życia... Czy i ile ją to kosztowało walk wewnętrznych, zmagań się rozpaczliwych ze sobą, z zawiedzionem, zdeptanem uczuciem, tego Jan nie wiedział, nie domyślał się, a właściwie nie chciał się domyślać.

Nie wiedział tego również, że zgasił radość życia Hanki i na jej bujną młodość w samem zaraniu rzucił kir smutku i żałoby.

W jakiś czas później obiło mu się o uszy, że stary Staszyński umarł, ale wiadomość ta mało go zainteresowała.

W myślach Jana królowała wówczas urocza pani Niusia, żona jednego z kolegów.

Dlaczego teraz w tę noc bezsenną, dręczącą oczekiwaniem bitwy, która może zakończy porachunek z życiem, spływa w duszę wbrew woli, wbrew chłodnemu rozumowaniu po splątanej nici wspomnień coś, jak tęsknota, żal i wstyd...

— Co u dyabła — powtarza sobie w myśli Krzycki — sumienie się we mnie zbudziło czy co?... Czy też ta dziewczyna była dla mie czemś więcej, niż inne kobiety?

Usiłował odpędzić od siebie uparcie powracające wspomnienia, chciał przestać myśleć — zasnąć.

Nie mógł.

— Kazek, spisz?

— Nie!

— Ano, jeżeli nie możesz spać, to oddam ci wet za wet — rozstroiłeś mnie swojem opowiadaniem, więc i ja ci teraz opowiem jeden epizod z mojego życia.

I zaczął opowiadać, jak poznał Hankę, jak ona go kochała i jak to życie poszło swoim torem...

W opowieść swoją mieszał Krzycki sarkastyczne uwagi, aby zamaskować wzruszesie, jakie go ogarniało przy rozsnuwaniu tych obrazów niby zatartych w pamięci, a występujących teraz z przedziwną siłą i świeżością barw.

Kazimierz słuchał uważnie, nie przerywając ani słowem.

— Tak więc zakończyła się ta moja sielanka wakacyjna — kończył Jan swoje opowiadanie — „es ist eine alte Geschichte"... i niewiem skąd mi przyszło do głowy wspominać to wszystko, rozważać i omal że rozczulać się... Hanka prawdopodobnie dawno pocieszyła się i teraz może zasypia na wygodnym materacu spokojnym snem sprawiedliwych przy boku kochającego małżonka, o ile go, rzecz prosta, nie zabrano do wojska!

— Jaśku!

W głosie Kazimierza zadźwięczał surowy wyrzut.

— Jaśku porzuć ten banalny, tani cynizm, którym stłumić chcesz głos serca... Nie udawaj gorszego, niż jesteś...

— Ach! Dajże mi spokój, ty czuły kochanku z obyczajowych powieści z moralnym sensem w ostatnim rozdziale... Ostatecznie życzę przecież Hance jak najlepiej, jeżeli przypuszczam, że się pocieszyła i zapomniała...

— A jeżeli jest inaczej?... Jeżeli ty złamałeś jej życie, unieszczęśliwiłeś ją, jeżeli ona pamięta i cierpi... Czy pomyślałeś o tem...

— Jeżeli, jeżeli... W takim razie... Eh! Nie jestem odgadywaczem przyszłości, nie chcę robić konkurencyi pani de Thèbes i jej czcigodnym kolegom i koleżankom... A niech to!... Dosyć tego głupiego gadania... Spijmy!

Zamilkli znowu, sen jednak nie przychodził...

. . . .

. . . .

Dniało...

Hen daleko, nizko, u krańca horyzontu wystąpiły blade smugi i zwolna, nieznacznie rozlewały się na nieboskłonie coraz szerzej i wyżej i coraz jaśniej.

Swit zapalał się i płynął coraz wyraźniej bladoróżową jasnością.

Tuż nad ziemią pełzał jeszcze mrok, przewalał się zboczami wzniesień w doliny, czaił się w parowach i jarach, pierzchał w zarośla, gaje i lasy...

Dzień wstawał.

Na ziemi tu i ówdzie ozwały się głosy. Coraz ich więcej, brzmią coraz wyraźniej, łączą się razem, zlewają w jedno, aż wyłoniła się z nich melodya poważna, majestatyczna i zabrzmiała pieśń:

„Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki
Bądź pochwalon, Boże wielki!..."

To żołnierze polscy w okopach, Mazury, wielbią Stwórcę pokłonnym hymnem, pieśnią poranną — modlą się o świcie, jak modlili się dawniej w swych cichych chatach, jak modlili się ojcowie i dziadowie.

W melodyę pieśni wplatają się nowe tony: westchnienie głębokie i ciężkie. Komuś oczy zwilgotniały, gdzieś tam upadła łza...

Z piersi chłopskiej wyrywa się tu i ówdzie znowu pieśń inna:

„Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą.
Zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą..."

I płynie w dal szeroko, niesie się w górę, jak skowronkowe pienia ta pieśń polska, hymn czci najwyższej narodu do Swej Królowej Niebieskiej...

Korzą się serca i wielbią w oddaniu i ufności...

Tam w dali na wschodzie trysnęły złote blaski...

Naraz rozdarł powietrze huk jeden, drugi, dziesiąty...

Działa zaczęły grać...

Ziemia zadrżała i drży, jakby w lęku o tych, którzy w jej wnętrzu szukają osłony...

Działa łomocą coraz gęściej... Z potwornych paszcz spiżowych rwą w przestwór pociski ze świstem i rykiem... Powietrze, targane raz po raz wybuchem, zawodzi, wyje i jęczy. Z przeciwnej strony płynie podobna fala, uderza z całą mocą. Tysiąc głosów ściera się, splata i wre w szale. Z chaosu tej muzyki śmierci wyłania się groza.

Na dalekiej, szerokiej przestrzeni nie widać nic, tylko wzniesienia nieznaczne, pagórki i długie usypiska, ale poza nimi błyska tysiące zimnych, stalowych ślepi. Smierć chciwa ludzkiego życia spogląda przez otwory rur karabinowych, czai się w zamkach, czyha na ostrzach bagnetów...

Gdy przestrzeń ta zaroi się, zaludni, ziemia zrosi się krwią obficie...

Działa łomocą raz po raz bez przerwy, powietrze faluje gwałtownie i wyje tysiącem głosów, ziemia dygoce, a ukryci w jej wnętrzu żołnierze czekają, czekają długo...

Zaciśnięte dłonie ściskają mocno karabiny, mięśnie wyprężyło oczekiwanie, oczy płoną...

Padł rozkaz.

Przez szeregi przeszedł dreszcz...

— Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko — szepczą usta.

— Bracie, pamiętaj o mnie.

— Wojtek, nie zapomnij, o co cię prosiłem!

— Gdy zginę, wiesz, co masz zrobić...

Ktoś komuś padł jeszcze w objęcia, ktoś rękawem przetarł oczy, ktoś drżącą ręką pisze jeszcze ostatnie słowa.

Znowu padł rozkaz.

Ozwał się szczęk. Bagnety nakładane na karabiny zazgrzytały głośno, chrapliwie...

Ostre, lśniące języki zamigotały... Promienie słońca roznieciły w nich tysiące skier...

— Naprzód! — zabrzmiała komenda.

— Hurra! hurra!

— Jezus, Marya, Józef!...

I poszli...

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

Porucznik Jan Krzycki odzyskał przytomność i spojrzał...

Dokoła niego panował ruch, słychać było ciężkie westchnienia i jęki.

Porucznik w pierwszej chwili nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje — zapytał więc:

— Gdzie jestem?

— W szpitalu polowym! — brzmiała odpowiedź.

— Jak wypadł szturm?

— Okopy rosyjskie wzięte. Moskale cofają się w kierunku Z.

— A nasze straty?

— Nieznaczne.

— Cóż ze mną?

— Ramię strzaskane odłamkiem szrapnela, rana w piersi od kuli karabinowej. Upływ krwi był silny, ale niebezpieczeństwa niema.

Kiedy lekarz odszedł do innego rannego, zbliżył się do porucznika Krzyckiego żołnierz z obandażowaną głową.

— Melduję posłusznie — rzekł składając wojskowy ukłon — mam do oddania tu rzeczy.

Zołnierz podał pierścionek, fotografię, list i portfel.

Krzycki poznał. Zal ścisnął serce, mgła zaczęła przysłaniać oczy i czuł, że ogarnia go znowu mrok.

Opanował się jednak. Dał znak żołnierzowi, aby usiadł przy nim i szepnął drżącym głosem:

— Opowiedz.

— Kiedy przyniesiono mnie — zaczął żołnierz — na stacyę opatrunkową, leżał tam już chorąży Walczak. Miał strzaskane ramię i nogę. Był jeszcze przytomny i poznał mnie. Miał jednak już tylko tyle sił, że wymienił nazwisko pana porucznika i dał mi te rzeczy. Więcej nie mógł nic mówić, ale ja zrozumiałem, że mam to oddać.

— Co się stało z chorążym? — zapytał Krzycki.

— Widziałem, że było przy nim dwóch lekarzy, a potem przyszedł ksiądz... Konał już... A potem to ja zemdlałem, jak mnie opatrywano, no i odwieźli mnie tutaj... Biedny nasz chorąży!

— Biedny Kaziku! — westchnął porucznik Krzycki — spełniły się twoje przeczucia.

ROZDZIAŁ VI.

— Panno Anielko, droga, złota panno Anielko, czy ja mogę już pójść, zastąpi mnie pani? — pytała Józia przymilnie, spoglądając w oczy Anielce, która krzątała się koło kuchenki gazowej z herbatą.

— Ależ owszem... Na sali jest teraz zaledwie kilka osób. Wogóle w „kuchni" w godzinach przedpołudniowych ruch jest słaby. Dam więc sobie radę doskonale!

Istotnie starszy pan, w okularach, z poważną, surową miną pedagoga, który siedział przy kasie, nie miał prawie nic do roboty i mógł spokojnie czytać gazetę.

Trzech tylko szpakowatych już mężczyzn popijało herbatę, omawiając z ożywieniem najnowsze wiadomości z terenów wojny, dwaj młodzieńcy grali w szachy, a w kąt pod oknem wcisnęła się jakaś ubogo ubrana kobieta i oparłszy głowę na ręku, zdawała się dumać czy drzemać.

— A gdzież to panna Józia się tak spieszy? — dodała z uśmiechem Anielka.

Lubiła bardzo ładną dziewczynkę, która też nawzajem odpłacała jej uczuciem gorącej sympatyi.

Józia, posłyszawszy pytanie, miała już na ustach zręczną, wykrętną odpowiedź, ale pod wpływem jasnego, przyjaznego spojrzenia Anielki, zarumieniła się nagle i niespodzianie dla samej siebie odpowiedziała szczerze:

— Umówiłam się! Mam się z kimś spotkać!...

Dziewczęta spojrzały sobie w oczy. Przepływał między nimi jakiś tajemniczy prąd sympatyi i ufności.

Były to dwie odmienne natury kobiece, które czuły się jednakowoż wzajemnie silnie pociągnięte ku sobie.

Nagle Józia, idąc za odruchowym popędem serca, przytuliła swoją kształtną główkę do ramienia Anielki.

Anielka odczuła, że w tym ruchu było jakieś nieme wyznanie, prośba o przyjaźń, o radę.

Ujęła w pół dziewczynkę i pociągnęła ją na ławkę pod ścianą. Widziała, że Józia chce jej coś powiedzieć, o coś zapytać, ale nie śmie, boi się, waha.

Postanowiła jej dopomódz.

— Panno Józiu, czy pani przypadkiem nie zgubiła serduszka tutaj w Pradze?

— Może... może... — szepnęła Józia.

Przez chwilę milczały obie, a potem Józia zaczęła:

— Panno Anielko, wie pani, że ja panią strasznie lubię, tak jakoś pani wierzę, sama nie wiem dlaczego, że wszystkobym pani powiedziała i przed panią to ani rusz nie mogę skłamać... Już nieraz myślałam, żeby to pani chciała być moją przyjaciółką...

— Ależ chętnie...

— I będzie mi pani mówiła ty?

— Naturalnie, ale w takim razie ty mnie tak samo.

— Nie... nie... Jabym nie śmiała. Wiem, że pani niewiele starsza odemnie, ale pani dużo mądrzejsza i taką ma jakąś powagę w sobie... Może później.

— Dziękuję za komplement. Nie wiedziałam, że na tak poważną matronę wyglądam! — żartowała rozbawiona Anielka.

— Ale skądże znowu matrona?! Pani jest młoda i prześliczna, ładniejsza aniżeli te wszystkie panie i panny, które tutaj przychodzą. Ach! Gdybym to ja miała taką siostrę! Ale Kazia, to jeszcze dzieciak i strasznie nieznośna. A mama moja to umarła, jak ja miałam sześć lat...

Serce Anielki zabiło żywiej. To poczucie wspólnej doli sierocej pociągnęło ją silniej ku Józi.

— I ja jestem sierotą, Józiu!

— Tak, wiem, ale pani przynajmniej miała ciotkę, która panią kocha, która panią wychowała. A mnie to właściwie nikt nie wychowywał. Tatuś dawał pieniądze, wykrzyczał, gniewał się, jeżeli coś za drogo kosztowało, a pozatem to się wcale o mnie nie troszczył. O Kazię to już więcej... Wie pani, mnie się zdaje, że tatuś to mnie jakoś niebardzo lubi! Mówi zawsze, żem zupełnie podobna i z charakteru i z twarzy do mamy. A ja słyszałam od służących, że tatuś i mama źle żyli ze sobą i mama się tem gryzła i dlatego umarła tak wcześnie.

Oczy Józi straciły swoje wesołe, filuterne błyski, wyglądała w tej chwili na dużo starszą. Znać było po niej, że jej zaranna młodość zdążyła już spojrzeć w posępne otchłanie życia i zetrzeć pył motyli ze swoich skrzydeł.

Anielka ujęła w swoje dłonie miękką rękę dziewczyny.

— Józiu, jakże można wierzyć plotkom, które rozsiewają służące i...

— Kiedy ja czuję, że to prawda!

— Dzieciak z ciebie!

— Oho! dzieciak!... Ja już dużo przeżyłam i dużo wiem, może więcej od pani. Tak, to napewno, że tatuś woli Kazię... No, może to i nic dziwnego... Kazia posłuszniejsza, cichsza, uczy się dobrze, a mnie to zawsze coś w nauce przeszkadzało, a szczególnie chłopcy...

— Jakto chłopcy?

— Bo ja, proszę pani, nie mogę przejść ulicą, żeby się za mną mężczyźni nie oglądali. I to nietylko studenci, ale i starsi panowie, a czasem to nawet zupełnie siwi! — opowiadała Józia z dziwną mieszaniną zawstydzenia i zadowolenia. — A cóż ja temu winna?

Anielka, patrząc na ruchliwą twarz Józi, rozbłysłe w tej chwili oczy, uśmiechnięte wiśniowe usta, zrozumiała, dlaczego mężczyźni oglądają się za tą dziewczyną...

Szedł od niej jakiś nieokreślony urok, który i Anielkę objął w posiadanie, odpowiedziała więc łagodnie:

— Tak zupełnie bez winy to ty nie jesteś, moja Józiu... Kokietujesz zanadto, a nie powinnaś tego robić... To i za wcześnie dla ciebie i wogóle źle i brzydko...

— Może i nie powinnam... Ale to tak przyjemnie podobać się... — odparła naiwnie Józia.

Anielka spojrzała na nią surowo, bez słowa.

Józia zrozumiała ten wzrok!

— O moja droga pani — zawołała, składając ręce jak do modlitwy — niech się pani na mnie nie patrzy tak ostro, jak jedna moja ciocia, która zawsze wtedy przychodzi do nas, kiedy trzeba mi dać „burę". Jak tylko coś zbroję, to ona zaraz jakby z pod ziemi wyrasta... A ja nie chcę, żeby pani była do niej podobna!

Anielka rozbrojona wdziękiem Józi uśmiechnęła się znowu...

— Wiesz Józiu, mnie się zdaje, że ty często sama nie rozumiesz tego, co mówisz i robisz...

— Czy ja wiem... Może... Ale ja pani jeszcze coś powiem... Coś, czegobym nikomu innemu nie powiedziała... Ja się tutaj w Pradze zmieniłam... Ja już teraz o żadnych innych chłopcach nie myślę, tylko...

Urwała.

— ...o panu Żarnickim — dokończyła Anielka.

Józia skinęła głową.

— Tak!... — szepnęła.

— Więc on ci się doprawdy tak bardzo podoba, Józiu?

Józia patrzyła przed siebie zamyślona.

— Bo ja wiem, jak się to stało... Z początku to on mi się wcale nie podobał, zdawało mi się nawet, że jest brzydki... Ale raz spotkałam go, kiedy wychodziłam z kościoła... Podszedł i zaczął rozmowę... Rozmawialiśmy wtedy długo, długo i ja spostrzegłam, że on ma oczy bardzo piękne i uśmiecha się tak ślicznie i głos ma bardzo miły... Patrzył na mnie tak dziwnie, że aż mnie niepokój ogarnął... Na drugi dzień przyniósł mi do domu książkę, o którą go prosiłam... Namówił mnie, żebym z nim poszła na spacer, tam daleko, wie pani, na Petřin. I mówił do mnie tak dobrze, tak ładnie, jak nie słyszałam jeszcze. A potem widywaliśmy się coraz częściej... Gdzie tylko szłam, gdzie się obróciłam, spotykałam go zawsze... Aż wreszcie...

Przerwała znowu.

— No i cóż dalej, mów Józiu... — zachęcała Anielka, gładząc ręką pieszczotliwie włosy towarzyszki.

— Powiedział mi, że mnie kocha...

— A ty co na to?

Józia zamiast odpowiedzi ukryła twarz na piersiach Anielki.

Zapanowało między niemi w tej chwili głębokie porozumienie. Opowiadanie Józi wywołało w myślach Anielki wspomnienie innego człowieka, który umiał także mówić „dobrze i ładnie", za którym tęsknota dręczyła ją od tylu miesięcy i gasiła świeżość jej rumieńców.

W głosie Józi słyszała prawdę, czuła, że ta dziewczyna naprawdę pokochała Żarnickiego.

— No i cóż — pytała dalej Anielka — tworzycie jakie plany na przyszłość? Ty jesteś jeszcze wprawdzie młodziutka, ale pan Żarnicki powinien się poważniej na życie zapatrywać...

— Plany na przyszłość? — zapytała zdziwiona Józia — Nie, nigdy o tem nie mówimy.

Anielka milczała chwilę, zastanawiając się nad czemś.

— Józiu — zapytała wreszcie — czy ty tutaj w Pradze jesteś bez opieki jakiejkolwiek starszej osoby?

— To ja mam opiekować się Kazią — odpowiedziała z pewną dumą Józia—Tatuś, jako urzędnik, musiał zostać w Krakowie, a nas dwie wysłał tutaj ze służącą...

— A może to byłoby dobrze, gdybyś ty szczerze o wszystkiem ojcu napisała?

Józia zatrzepotała się w nagłym przestrachu, jak ptak spłoszony.

— Napisać do tatusia?! Nie, nigdy! Ja się boję! Pani nie zna mego tatusia! On zawsze taki surowy dla mnie. Zabrałby mnie zaraz stąd, zamknąłby mnie w jakim klasztorze! Jabym już więcej Konrada nie zobaczyła!...

W głosie Józi zadrżały łzy.

— Ależ... — próbowała perswadować Anielka.

— Nie, nie!

Anielka przypomniała sobie opór pani Krystyny, jej zakaz surowy i dała spokój dalszym perswazyom.

Józia spojrzała na zegarek i zrywając się z ławki zawołała:

— A to się zagadałam! Z panią tak dobrze się gwarzy, a on tam już czeka. Żeby się tylko nie zaziębił na tym wietrze. On ma takie słabe zdrowie...

Pospiesznie ubierała czapeczkę, żakiet i przymocowała do klapy żakietu pęczek świeżych fiołków.

Poważny nastrój chwilowy opuścił ją już zupełnie, oczy jej rozbłysły znowu tysiącem figlarnych ogników, w wesołym uśmiechu odsłaniała białe ząbki.

Ucałowała Anielkę serdecznie i wybiegła, nucąc:

„Mama mówi, żem dziecinna,
Że to tylko pusty szał,
Ach, mój Boże! Cóż ja winna,
Że mi Pan Bóg serce dał!"

. . . .

Po skończonym dyżurze Anielka wyszła z „kuchni" i skierowała się ku domowi, ostrożnie stąpając po mokrym, oślizgłym chodniku.

Tajało...

Dzień był ciepły, pogodny — jakieś tchnienia przedwiosenne, płynące od pól i lasów, przebiegały miasto...

Mali kwiaciarze i kwiaciarki uliczne sprzedawali już bukieciki białych śnieżyczek i wiązki przedwcześnie w tym roku rozkwitłych „bazi" wierzbowych.

W oknach wystaw sklepowych znaczyło się oczekiwanie blizkiej wiosny słomkowymi i jedwabnymi kapeluszami, opatrzonymi kartką reklamową: „najświeższa nowość wiosenna".

Anielka nie lubiła zimy i cieszyła się, czując powracającą wiosnę.

Razem z odrodzeniem ziemi budziły się w niej jakieś słodkie, radosne marzenia i nadzieje.

— A może przecież przyjdzie jakaś wiadomość dobra o nim... Może napisze... a może... może przyjedzie sam, kiedy się dowie... Przecież tylu żołnierzy przyjeżdża na urlopy...

Od czasu, kiedy złożyła w ręce Montwiłła troskę o poszukiwanie Kazimierza, czuła się spokojniejszą i weselszą.

Ufała Montwiłłowi, że dotrzyma przyrzeczenia i żyła nadzieją — — —

W stosunkach towarzyskich pani Krystyny zaszła zmiana, z której Anielka była bardzo zadowolona.

Pani Wolska porobiła dużo nowych znajomości, wobec czego wyłączny wpływ Potyrowskiego musiał się siłą faktu osłabić, zwłaszcza, że tu i ówdzie obijały się jej o uszy wcale niepochlebne wzmianki i rozmaite dwuznaczne przypuszczenia odnośnie do osoby i sposobu życia „pana inżyniera".

Pani Krystyna niezupełnie wierzyła temu, co słyszała i sympatyi swojej, którą Potyrowski umiał zręcznie podsycać komplementami i płomiennemi spojrzeniami, nie odebrała mu — zachowywała się jednakże mimowolnie z coraz większą rezerwą.

Koncewicz zaś stracił kompletnie grunt u pani Krystyny.

Montwiłł wyrugował go zupełnie z planów i łask troskliwej ciotki.

Pani Wolska poznała się odrazu na uczuciach, jakie wzbudziła Anielka w sercu Montwiłła i wkrótce doszła do przekonania, że to byłaby „piękna para".

Anielka zachowywała się w tym wypadku dyplomatycznie.

Nie potwierdzała, ani też nie rozwiewała przypuszczeń ciotki — bo w ten sposób mogła się uwolnić od towarzystwa i natrętnych nadskakiwań Koncewicza.

— No, Koncewicz mógł się jej nie podobać! — myślała pani Krystyna — Prawda, jest trochę ospały, ślamazarny i czasem nudny, ale Montwiłł, to zupełnie co innego... Ja sama, gdybym była młodsza... Przy takim konkurencie to chyba zapomni o swoim ślusarzu...

Anielka odgadywała myśli ciotki i nieraz brała ją ochota, aby zarzucić opiekunce ręce na szyję i powiedzieć szczerze:

— Ciociu, nie snuj napróżno planów... Choćby nie jeden Montwiłł, choćby dziesięciu, stu piękniejszych jeszcze Montwiłłów, to dla mnie niema i nie będzie...

Ale zaraz stawały jej w pamięci uprzedzenia i niechęć pani Krystyny do Kazimierza — milczała więc przezornie. — — —

Przechodząc koło perfumeryi, Anielka wstąpiła, aby załatwić jakiś drobny sprawunek dla ciotki.

Kiedy wyszła ze sklepu, spostrzegła wyłaniające się z za zakrętu ulicy postacie Żarnickiego i Józi.

Szli pod rękę, rozmawiając żywo, tak zapatrzeni w siebie, że nie zdawali się nie widzieć nikogo więcej.

Przeszli obok Anielki, nie spostrzegłszy jej wcale.

Anielka poszła zwolna dalej i mimowolnie musiała zasłyszeć coś z rozmowy, idącej przed nią pary.

— Od kogo te fiołki? — pytał Żarnicki, wskazując na bukiecik, przypięty do żakietu Józi.

— A nie powiem! — przekomarzała się dziewczyna.

— Ja i tak wiem, od kogo! To od Wicherka!

— Od pana Wicherka?! Ale, skądże znowu! Ja go już chyba tydzień nie widziałam. Kiedy to ja z nim mówiłam raz ostatni? Aha! We wtorek...

W oczach Żarnickiego zamigotał gniew, mocniej przycisnął ramię dziewczyny do siebie.

— Więc znowu mówiłaś z nim! Widzisz, a tyle razy prosiłem cię, obiecywałaś mi... Józiu. Tobie zupełnie wierzyć nie można.

— A cóż ja miałam zrobić, jeżeli on podszedł do mnie i przywitał się. Szedł właśnie od pracy i był taki zmęczony! On pracuje teraz jako prosty robotnik. Żartował z tego, mówił, że pisze w kancelaryi ołówkiem, ale takim ciężkim, że wieczorem ręką ruszać nie może...

Wzmianka o ciężkiej pracy Wicherka była Żarnickiemu widocznie nieprzyjemną, bo ściągnął brwi i rzekł z przekąsem:

— Pozuje na bohatera, interesującego męczennika pracy, żeby zawracać głowy takim gąskom, jak ty...

Józia szarpnęła się obrażona:

— Jeżeli pan w ten sposób będzie do mnie mówił i tak mi dokuczał, to, doprawdy, mogę żałować...

— Czego?!

— ...Że pana Wicherka nie poznałam wcześniej niż pana.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z obchodu racławickiego.

Wspaniały obchód na polach Racławic pozostanie na długo w pamięci wszystkich uczestników tej uroczystości. Zaroiły się znowu te krwawe pola chłopskiemi sukmanami, zadźwięczały szable polskich żołnierzy i zdawało się, że przed chwilą opadł kurz i dym, a ten oddział Krakusów, co mknął na koniach z ułanem polskim na czele — to powracający po krwawej rozprawie hufiec...

Odżyła znowu na polach Racławic wizya przeszłości i rozeszła się echem po całej Polsce...

Jakkolwiek tłumny był udział w tej uroczystości, z pewnością znalazła się tam tylko drobna cząstka tych, którzy pragnęli się tam znaleźć, bo wojna utrudniła komunikacyę, zwłaszcza z dalszych okolic. Te też ażeby dać możliwie najpełniejszy obraz tej uroczystości, uzupełniamy zdjęcia, zamieszczone w poprzednim numerze, dalszemi fotografiami, które przedstawiają różne momenty z obchodu Racławickiego.

Trzeci Maja w Królestwie Polskiem.

Gdy w Galicyi rocznica Konstytucyi 3 Maja obchodzona była bardzo skromnie, choć w niemniej uroczystym i podniosłym nastroju, we wszystkich niemal miastach i miasteczkach Królestwa Polskiego dzień ten stał się prawdziwem świętem narodowem, które obchodzono przy niezliczonym udziale tłumów, spieszących na tę uroczystość nawet z dalszych okolic.

O uroczystości Trzeciego Maja w Warszawie pisaliśmy już w jednym z poprzednich numerów, a w dzisiejszym — zamieszczamy szereg dalszych fotografij z tego wspaniałego obchodu, o którym piszemy na innem miejscu. Choć nie w tak olbrzymich rozmiarach, lecz niemniej uroczyście uczczono dzień Trzeciego Maja na terenie Królestwa Polskiego, okupowanym przez wojska austro-węgierskie. Choć nie wszędzie mogły odbyć się pochody, nie przeszkodziło to jednak podniosłym uroczystościom, w których wzięli udział nie tylko mieszkańcy miast, ale i tłumy okolicznego ludu.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcia z obchodu Trzeciego Maja w Olkuszu i w Janowie (w Lubelskiem).

Dzień skauta w Warszawie.

Wdzięcznym epizodem uroczystości majowych w Warszawie było także „święto dzieci" w parku na Pradze oraz urządzone w dniu św. Stanisława w parku Agrykoli popisy gimnastyczne i skautowe, w których brały udział liczne rzesze młodzieży szkolnej i skautów.

W doskonałym, karnie spiętym szyku młodzież wkroczyła przy dźwiękach muzyki i zajęła wyznaczone miejsca w szrankach popisowych. Na estradzie głównej stanął, jak wódz, ogarniający bystrem okiem podwładne sobie szeregi, p. E. Nebel. — Wszystkie oczy wpatrzyły się w niego, wszystkie uszy wytężyły się w słuchu na głos komendy.



Uroczystości narodowe w Warszawie: Fragmenty z pochodu Trzeciego Maja na Krakowskiem Przedmieściu 1) Czoło pochodu. 2) Grupa duchowieństwa. 3) Pluton honorowy milicyi z ks. Radziwiłłem na czele 4) Związek dziennikarzy. 5) Studenci Politechniki 6) Szkoły żeńskie. (Fot. R. Adamowicz).



Trzeci Maja w Królestwie Polskiem: Uroczystość w Olkuszu (przemówienie delegata Naczelnego Komitetu Narodowego, inżyniera Minkiewicza, przy drzewie wolności)



(Fot. J. Krasowski, Miechów).
Banderya Krakusów i kompania włościan z okolicy.



Z obchodu racławickiego:
Kompania z Miechowa zdąża na miejsce uroczystości. W dali banderya włościańska.



Trzeci Maja w Królestwie Polskiem: Przemówienie chorążego Legionów Polskich St. Lelka (X) na Rynku w Janowie (w Lubelskiem).



Trzeci Maja w Królestwie Polskiem: Pochód w Janowie (w Lubelskiem).

Zagrzmiała trąbka, mignęła i zatrzepotała na wietrze czerwona chorągiewka i nagle z kilku tysięcy młodych piersi buchnął w powietrze rytmiczny śpiew-pobudka:

„Baczność! już nadszedł czas
W szeregach stanąć karnie
I dla Ojczyzny wszyscy wraz
Pracę swą nieść ofiarnie“.

Umilkły słowa hasła. Znów sygnał na trąbce, znów trzepot chorągiewki i rozpoczynają się ćwiczenia. Gimnastyka rytmiczna idzie sprawnie. Jednocześnie wznoszą się ramiona, jednocześnie opadają. Na komendę chłopcy zgrabnie zrzucają kurtki i czapki. Swiecą w słońcu białe, sportowe koszule, błyszczą oczy rozradowaniem. Każda szkoła ma swoją ambicyę, nie chce być gorszą od innej, a współzawodnictwo daje wynik ogólny bez zarzutu. Zrywa się burza oklasków. Po krótkiej przerwie młodzież znów staje



Dzień skauta w Warszawie: 1) Oddział cyklistow. 2) Komendanci 3) Ćwiczenia oddziału sanitarnego. 4) Ćwiczenia w ratownictwie. (Fot M. Fuks).



Z obchodu racławickiego: Ołtarz polowy. (Fot. J. Krasowski, Miechów).

w karnym szeregu i rozpoczyna się druga serya ćwiczeń, zakończona wspaniałym marszem-defiladą przed licznie zgromadzoną publicznością.

Z kolei następują popisy odzielnych grup gimnastycznych, uprawiających gry ruchowe, fechtunek i ćwiczenia z lancami, oraz specyalne ćwiczenia skautowe, z których zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg illustracyi.

„Dzień skauta“ w Warszawie zgromadził niezliczone tłumy widzów i przyczynił się w ten sposób obficie do powodzenia kwesty majowej na rzecz szkolnictwa polskiego.

Zaznaczyć jeszcze należy, że na popis przybyło z Siedlec 16 tamtejszych skautów, którzy przed głównem wejściem na boisko formowali honorowy pluton.

Wystawa szkolna na kwestę majową w Warszawie.

Jednem z ogniw w łańcuchu akcyi narodowej na kwestę majową w Warszawie, była otwarta w przeddzień rocznicy Konstytucyi Trzeciego Maja Wystawa szkolna, dochód z której przeznaczono na szkolnictwo polskie. Otwarcia wystawy, która mieści się w zabudowaniach Doliny Szwajcarskiej i w Domu Pracy przy placu Zbawiciela, dokonała po uroczystem nabożeństwie w kościele św. Krzyża ks. Zdzisławowa Lubomirska w otoczeniu prezydenta miasta Warszawy, naczelnika milicyi ks. Fr. Radziwiłła, prezesa polskiej Macierzy oraz licznego grona zebranych osób. Pawilon Wystawy przy placu Zbawiciela zapełnił się wspaniałymi okazami szkół zawodowych Wawelberga i Rotwanda, kolejowej i rzemieślniczej.



Dzień skauta w Warszawie: Defilada (Fot. M. Fuks).

Uczniowie szkół technicznych i średnich przygotowali pod kierunkiem profesorów artystyczne umieszczenie rysunków, witraży, wycinanek i t. d. Z dostarczonych okazów sądzić można o rozwoju szkół zawodowych. Na wystawie po raz pierwszy znalazł miejsce dział retrospektywny podręczników, począwszy od XV stulecia, dzięki uprzejmości biblioteki Krasińskich, antykwaryatu Wildera i Warszawskiego. Wystawa obejmuje zarówno podręczniki łacińskie, używane w szkołach jezuickich, jak i pierwsze podręczniki polskie.

Również do działu retrospektywnego zaliczyć można wystawę anatomii opisowej uniwersytetu warszawskiego, w której prof. Loth umieścił preparaty z przed stu lat z górą, wykonane w byłej Akademii medyko-chirurgicznej.

Najciekawszem może dziełem na Wystawie są tablice graficzne, przedstawiające stan i rozwój szkolnictwa w Warszawie. W przystępny, prosty sposób narysowane są na nich szkice i allegorye tego, co było wczoraj, jak wygląda sprawa dziś i czem może być jutro.

Jeden z grafikonów przedstawia rysunek koła, a na niem w rozmaitych barwach naznaczone wydatki Warszawy na szkoły miejskie za czasów rosyjskich i dzisiaj. Budżet szkolny, stanowiący wązki odcinek koła, wynosił wówczas czterysta tysięcy rubli, dziś obejmuje już wiele miejsca, a wyraża się sumą przeszło dwóch milionów rubli. A więc zwiększenie pięciokrotne. Albo inny obrazek. Widnieje na nim obdarty włóczęga obok sympatycznie wyglądającego chłopczyka. Ten pierwszy, to analfabeta, któremu utrudniono naukę czytania i pisania; ten drugi, to obraz cyfry dzieci szkolnych z roku 1910. Druga rycina ma inny wygląd: włóczęga jakoś zmalał, chłopczyk dziwnie urósł, to — stan dzisiejszy szkolnictwa; na trzecim obrazku z włóczęgi pozostała tylko porzucona czapka, z chłopczyka wyrósł dzielny i oczytany młodzieniec — to jeszcze wizya przyszłości i okres powszechnego nauczania.

Jest także statystyka narodowościowa i religijna uczniów. Z cyfr warto zanotować jedną: wśród pięćdziesięciu przeszło tysięcy uczniów i uczenic szkolnych w rubryce prawosławnych widnieje skromnie cyfra — 14. Jak na stuletnią rusyfikacyę kraju, to rezultat więcej niż skromny.

Wśród rzeczy jasnych i wesołych, widnieją tablice smutne. Oto jedna z nich, przedstawiająca statystykę tego, ile razy dziennie dziecko szkolne otrzymuje w domu gorący posiłek. Rubryki dzielą się na jedną, dwu, trzy i wielorazową ciepłą strawę. W rubryce, wskazującej na jednorazowe pożywienie, widnieje przerażająca cyfra kilkunastu odsetek. To jest bardzo smutne. Ale zaraz obok widzimy statystykę rozdzielonych w szkole, przez dobroczynne ręce, posiłków dla dzieci. Tych, na znękaną wojną Warszawę, jest niebywale dużo.

Wogóle trzeba zaznaczyć, że wystawa czyni wprost imponujące wrażenie. W ciągu niespełna trzech tygodni zgromadzono takie bogactwo eksponatów, że budzą one podziw dla polskiego szkolnictwa w okresie wojennym.



Dzień skauta w Warszawie: W marszu na ćwiczenia. (Fot. M. Fuks).

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

2

Pierwsze, większe zdobyte pieniądze zawdzięczał spekulacyom swoim na kopalniach złota w Afryce południowej. Upodobanie do podróży i łatwość przyswajania sobie języków dopomogła mu znakomicie do wyrobienia sobie stosunków potrzebnych, a chwila wojny angielsko-boerskiej stała się decydującą w jego karyerze.

W czasie tym, dzięki ogromnej znajomości terenu i jasnego poglądu na stan rzeczy, zaokrąglił majątek swój do sumy dwudziestu milionów franków.

Na Giełdzie liczono się z nim i ceniono należycie. Versigny był przekonania, że każdy finansista obowiązany jest korzystać z każdej sposobności powiększenia swojego majątku, choćby w ryzykowny, ale godny sposób.

I nie odrzucał też żadnej takiej sposobności i nie lekceważył ludzi, od których pomoc w tym kierunku przyjść mogła.

W tym celu więc, kiedy pracował nad utworzeniem swojego „Towarzystwa kopalnianego", przyjął chętnie pośrednictwo i usługi, ofiarowane mu przez nikłego, starego człowieka, który przez pewien czas nachodził go w biurze, wyczekując długie godziny w jego przedpokoju.

Ten nędzny, niepokaźny człowiek okazał się w pierwszej z nim rozmowie poważną figurą. Był to Stefan Seelencher, stary oryginał i milioner, mieszkający w Hamburgu, a któremu zawdzięczał doprowadzenie wielkiego projektu swojego do skutku.

Versigny był bardzo surowy i wymagający dla otoczenia swojego, kiedy chodziło o pracę obowiązkową, lecz znając niebezpieczeństwo codziennych słabostek ludzkich, wynagradzał tę surowość swoją niezwykłą i pobłażliwą dobrocią w prywatnem zetknięciu się ze swoimi urzędnikami.

Mając lat 30 Versigny, w pełni swojego rozkwitu finansowego, ożenił się z młodą dziewczyną, sierotą, panną de Lambriere, pochodzącą ze zrujnowanej rodziny szlacheckiej. Versigny poznał ją w Tunisie, gdzie mieszkała z bratem, porucznikiem przy strzelcach.

Żył z nią w zgodnej harmonii przez lat pięć, az do chwili, kiedy nagle uległa ostremu zapaleniu płuc, któremu oprzeć się nie mógł wątły jej i delikatny organizm. Smierć jej przygnębiła silnie Jéroma Versigny, do tego stopnia, że tylko myśl o córeczce, którą mu pozostawiła, zdołała go wyrwać z depresyi i rozpaczy, w jaką się pogrążał.

Po odebraniu Michaliny z klasztoru, gdzie ją umieścił na żądanie matki, otoczył ją w domu wszelkiem staraniem i opieką. Tam, pod kierunkiem nauczycielki, miss Hopkins, osoby starszej i poważnej, młoda dziewczyna dopełniała swojego wykształcenia.

Michalina, natura czysta i impulsywna, przywiązała się do ojca bezgranicznem przywiązaniem, w którem mieściło się wiele podziwu dla jego charakteru i zdolności. Stosunek ich wzajemy był przyjacielski i serdeczny. Młoda dziewczyna patrzała na ojca, jak na istotę wyższą, wyodrębniającą się z pośród ludzi znajomych, a również jak na jedynego przyjaciela, do którego zwracała się z całem zaufaniem.

Najbliższym i jedynym członkiem rodziny Versigny był baron Gerard de Lambriere, wuj Michaliny, brat jej zmarłej matki.

Lambriere liczył lat dwadzieścia pięć w chwili, kiedy bankier poślubił jego siostrę.

W tym czasie podjął był powtórnie służbę wojskową, którą zmuszony był opuścić z powodu różnych nieformalności służbowych, a przedewszystkiem namiętności do gry hazardowej. Był to człowiek o niespokojnej, gorącej naturze, łaknący życia. Zbliżenie się jego do bankiera Versigny wywarło na nim wpływ bardzo dodatni.

Versigny zajął się nim jak bratem rodzonym i przez lat kilka dzięki tej opiece i wielkiej energii Gerarda de Lambriere, zdolnej zarówno do czynów użytecznych, jak i szkodliwych — ten ostatni okazał się doskonałym współpracownikiem bankiera.

Ale pomału, dawna jego, nieokiełzana natura występować zaczęła coraz silniej, a kiedy odziedziczył po dalekim jakimś krewnym dość znaczny majątek — zarzucił zupełnie podjętą pracę i powrócił do dawnego życia.

Z majątkiem tym załatwił się szybko i nadszedł dzień, w którym Versigny, spłaciwszy po raz ostatni zaciągnięte przez szwagra zobowiązanie, oświadczył mu stanowczo, że nadal nie może więcej liczyć na jego pomoc i pobłażanie.

Gerard de Lambriere przyjął pozornie ze spokojem to ostrzeżenie i od lat trzech już był bardzo rzadkim gościem w domu szwagra.

Po jakimś czasie zresztą wynalazł sobie zajęcie administracyjne w banku austryacko-bułgarskim, operującym we Francyi i jak utrzymywał, czuł się na drodze do zrobienia majątku.

Michalina.

Zaledwie Bernac wszedł do małego saloniku, ozdobionego delikatnemi makatami i dywanami, wprowadzony tam przez służącego bankiera Versigny, kiedy wbiegła szybko Michalina, wyciągając do niego obydwie ręce przyjacielskim ruchem:

— Ah! Panie Bernac! Jakże szczęśliwą jestem, że pana widzę! Pan jeden może mi dodać odwagi i nadziei! Prawda, że ojciec mój żyje jeszcze! Że go znowu zobaczę! Dziś może jeszcze... bo przecież panu wiadomem być musi, że zniknął nagle wczoraj z domu i dotąd nie wiem, co się z nim stało?

Oczy młodej dziewczyny pełne były łez, a twarz jej blada, zdradzała silnie przebyte wzruszenia i niepokoje.

Bernac milczał długą chwilę, współczując jej bólowi i nie chcąc go potęgować jeszcze słowami, jakie miał wymówić! Bo przecież Michalina nieświadoma była jeszcze niepokojących okoliczności, towarzyszących zniknięciu Versigniego i podobieństwa jego fizycznego do mordercy z ulicy Helder! Versigny również, jak tamten, nosił długi płaszcz futrzany z podniesionym kołnierzem, posługiwał się laską o srebrnej gałce i gdy wychodził zabierał zawsze ze sobą teczkę ze skóry czerwonej.

Bernac drżał na myśl o rozpaczy i zdumieniu młodej dziewczyny, kiedy zapozna ją z tymi smutnymi szczegółami.

A przecież postanowił powiedzieć jej wszystko, w nadziei, że ona potrafi mu może wytłumaczyć tę dręczącą zagadkę i dopomódz w odkryciu prawdy.

Ale przedtem jeszcze, chociaż lękał się głęboko o los bankiera, chciał serdecznemi słowami wzbudzić jej zaufanie i przekonać, że liczyć może na niego, jak na oddanego przyjaciela.

— Panno Michalino — rzekł wzruszony — przekona się pani w przyszłości, że nie zawiodę pani zaufania. Miałem... to jest mam dla pana Versigny uczucie głębokiej sympatyi, szczerze mu jestem życzliwy i wiadomość o jego tajemniczem zniknięciu dotknęła mnie bardzo — równie może silnie, jak panią. Tylko przedewszystkiem musimy się oboje uzbroić w zimną krew i odwagę i nie potęgować wrażenia chwili zdenerwowaniem i bezradnością.

— Nie zabraknie mi odwagi, zaręczam panu — zawołała Michalina, zaciskając ręce.

Twarz jej w jednej chwili zatraciła wyraz bolesny i zabłysła energią i siłą.

— Oh! Tak, to dobrze! — uśmiechnął się z zadowoleniem Bernac — Taką widzieć panią pragnąłem. Jeżeli przyszedłem do pani, to dlatego, ażeby wspólnemi siłami odkryć tajemnicę, wiszącą nad panem Versigny. I odkryjemy ją.

Bernac może nie wierzył w duchu w łatwość rozświetlenia sprawy, ale nie mógł oprzeć się pragnieniu ulżenia boleści młodej dziewczyny.

— I odnajdziemy ojca! Prawda, panie Bernac! — zawołała Michalina.

— Tak, odnajdziemy go! — powtórzył od ważnie.

— Ah! Dziękuję panu. Gdyby pan wiedział, jak te słowa zbawiennie na mnie działają. Już sama myśl, że czuję pana przy sobie, czyni mnie silną.

— I musi być pani silną nadal, bo jestem zmuszony wtajemniczyć panią w rzeczy ważne, które jeszcze więcej zaniepokoić mogą. Dowiedziałaby się pani o nich zapewne i bezemnie w czasie rozprawy sądowej, wolę więc być tym pierwszym, który to pani oznajmi.

Silne drżenie wstrząsnęło ciałem Michaliny. Opanowała się jednak szybko i wskazując Bernacowi wolne krzesło, wyrzekła spokojnie:

— Porozmawiajmy więc. Może pan wszystko mówić. Jestem w stanie wysłuchać i zrozumieć wszystko!

Bernac usiadł więc obok niej i streścił opowiadanie woźnego i pana Delong. Poczem przystąpił do objaśnienia jej zbrodni, dokonanej w hotelu „Princelet". Lecz kiedy doszedł do opisu człowieka, który odwiedził sir Archibalda Graves w jego mieszkaniu, okrzyk zdumienia i rozpaczy wybiegł z piersi Michaliny.

— Co? Co pan mówi? — zawołała, chwytając Bernaca gorączkowo za ręce — Ten człowiek podobny był do mojego ojca! I jego posądzają o...

— Ależ to może być zupełnie bez znaczenia — przerwał szybko Bernac — Jedna rzecz jest tylko pewna, że ojca pani i sir Archibalda Graves łączyły stosunki znajomości. Mogę to twierdzić z wszelką pewnością, gdyż jeszcze trzy miesiące temu pan Versigny mówił mi o jakiemś spotkaniu ze sławnym prezydentem trustu angielskiego. Ten podobno zaniepokojony był wzrastającem znaczeniem „Towarzystwa francuskiego kopalni dyamentowych" i przybył rozmyślnie do Paryża w tym celu, aby prosić pana Versigny, żeby nie przeciwdziałał jego interesom i planom. Wiem ponadto, że nawet groził ojcu pani, w razie gdyby ten nie zechciał się zastosować do jego pragnienia. Sir Archibald Graves nie wiedział jednak, że ma do czynienia z człowiekiem równie jak on silnym. Pan Versigny umiał go zniechęcić do dalszych nalegań, ale uczynił sobie z tego człowieka śmiertelnego wroga.

— A teraz, panno Michalino — rzekł Bernac po krótkiej chwili zastanowienia — mam do zadania pani kilka ważnych pytań. Niech pani wezwie na pomoc całą swoją przytomność umysłu i pamięć i niech pani wybaczy, jeżeli okażę się niedyskretnym i bezwzględnym, jeżeli zajrzeć będę chciał w prywatne życie ojca pani. Ale pani zrozumie, że chcąc go odszukać i ratować, wiedzieć o nim muszę wszystko.

— Niech pan pyta. Nie mogę chcieć ukryć czegokolwiek, lub zrazić się pytaniem pana, gdy chodzi o uratowanie mojego ojca.

— Oto mądra i dobra odpowiedź, panno Michalino. Jest pani dzielną istotą.

Michalina uśmiechnęła się lekko.

— Cieszą mnie słowa pana, panie Bernac! — odpowiedziała z prostotą — Proszę, słucham!

— To pierwsze pytanie będzie rzeczywiście bardzo niedyskretne i niewłaściwe może. Czy w zachowaniu się ojca pani nie spostrzegła pani w ostatnich czasach coś takiego... co nasunęłoby przypuszczenie, że ojciec pani poza domem utrzymywał stosunek jakiś... serdeczną znajomość z jaka osobą. Zwierzeń podobnych naturalnie od ojca pani odebrać nie mogła... ale istota taka, jak pani, rozumie chyba realne strony i potrzeby życia...

— Nie, panie Bernac! Sądzę, że nic podobnego nie było. — odpowiedziała poważnie Michalina — Stosunek mój do ojca był bardzo serdeczny i przyjacielski i choć jasnem jest, że nie mógł wtajemniczać mnie w sprawy tego rodzaju — jednak odczułabym je sama, żyjąc ciągle przy jego boku.

— To mi zupełnie wystarcza, panno Michalino i odpowiada temu, co sam wiedziałem o ojcu pani. Więc stanowczo, według przekonania pani, w nagłem zniknięciu pana Versigny nie można szukać motywów tego rodzaju... Ta hypoteza odpada, bo jest nieprawdopodobną — nieprawdaż?

— Tak, panie Bernac, całkiem nieprawdopodobną. A zresztą zdaje mi się, że niema rzeczy na świecie, któraby zmusiła ojca do zniknięcia w ten sposób, choćby na jeden dzień. Wiedziałby przecież, w jakim mnie pozostawia niepokoju i trwodze. Jeżeli milczy dotąd i nie daje żadnego znaku o sobie, to tylko dowodzi, że go do tego milczenia siłą zmuszono. Jestem przekonana, że został ofiarą jakiejś niecnej zasadzki.

— Jestem tego samego zdania. Ale niech mi pani powie, panno Michalino, może miss Hopkins, która żyje od dłuższego czasu w otoczeniu waszem, wie o pewnych sprawach pani nieznanych? Gdzie się obecnie znajduje miss Hopkins?

— Wyszła przed chwilą, aby odwiedzić przyjaciółkę chorą, przybyłą na krótko do Paryża. Ale sądzę, że wkrótce powróci.

— Bardzo dobrze. Czy nie przypuszcza pani, żeby ona mi dać mogła pożądane wyjaśnienie?

— Ależ, panie Bernac! Myśmy już obydwie między sobą szeroko omówiły to straszne wydarzenie! Zastanawiałyśmy się nad wszelkiemi możliwemi okolicznościami, aby znaleźć jakieś wytłumaczenie, najdrobniejszy fakt z życia ojca brałyśmy pod uwagę, przywołując wspomnienia jak najdalsze. I niestety wszystko było nadaremnie! Powiem panu nawet coś więcej. Narażając się na niezadowolenie ojca po jego powrocie, przejrzałam w biurku wszystkie jego papiery i listy! Nie było ich wiele, bo on miał zwyczaj niszczyć natychmiast swoją prywatną korespondencyę. Co zaś do papierów urzędowych, tych w domu niema, są w biurze. Ale z tego wszystkiego, co przerzuciłam w domu, nic odkryć nie mogłam.

— Czy pani przystąpiła do tej czynności sama, czy w obecności miss Hopkins?

— Sama.

— Czy nie zauważyła pani w tym czasie zmiany

jakiejkolwiek w usposobieniu ojca, w jego codziennych przyzwyczajeniach?

— Owszem! — odpowiedziała Michalina, nie namyślając się. — Ojciec mój posiadał usposobienie bardzo równe i pogodne. W ostatnich czasach spostrzegłam, że był często roztargniony i zdenerwowany.

— Czy może mi pani określić, od jakiego czasu datuje się ta zmiana?

— Od ostatnich kilku dni. Ale co jest szczególniejsze — dodała młoda dziewczyna po chwili — że przedtem właśnie, na jakie dwa lub trzy tygodnie, wydał mi się bardzo wesoły i ożywiony.

— To jest bardzo cenna wskazówka dla mnie — zauważył Bernac. — A czy może sobie pani wytłómaczyć lub zrozumieć przyczynę, która wywołała najprzód to zadowolenie, a następnie roztargnienie zaobserwowane przez panią?

— Nie. Jak panu wiadomo, ojciec mój nie lubiał wtajemniczać mnie w swoje sprawy urzędowe i nawet przyzwyczaił mnie do tego, że się nigdy o nic w tym zakresie nie zapytywałam. I wówczas, kiedy zaniepokojona jego przygnębieniem, ośmieliłam się zapytać o przyczynę, odpowiedział mi dosyć szorstko: „To nic, nie myśl o tem!" Nie nalegałam więc, nie chcąc go bardziej jeszcze rozdrażniać.

— A jednak gdybyśmy dziś wiedzieć mogli...

— Panie Bernac! — przerwała nagle Michalina — Czy przypuszcza pan, że zniknięcie ojca spowodowane jest motywem natury finansowej?

— Z wszelką pewnością, nie! Mówiłem w tej sprawie z panem Delong, który jest człowiekiem zaufania ojca pani, a przytem rozumny jest i prawy. Twierdził, że nigdy jeszcze interesa banku pana Versigny, jakoteż Towarzystwa kopalnianego, nie rozwijały się tak pomyślnie. A o jakichś ukrytych stratach czy porażkach nawet mowy być nie może, gdyż to by się nie udało ukryć.

— Nie wiem dlaczego, ale wolałabym, żeby tak było — rzekła Michalina — Mielibyśmy w rękach dowód jakiś, na którym moglibyśmy budować dalsze przypuszczenia.

Długą chwilę Bernac milczał, zatopiony w głębokich rozmyślaniach, nie zdając się nawet zwracać uwagi na obecność młodej dziewczyny.

— Powrócimy jednak do dnia wczorajszego — odezwał się wkońcu. — Czy pan Versigny wychodził rano z domu?

— Wychodził, tak jak zazwyczaj. Odbyliśmy razem krótką przejażdżkę konno i powróciliśmy po godzinie dziewiątej. Ojciec udał się do swojego pokoju, gdzie zmienił ubranie i zaraz potem wyszedł.

— Czy pani wie, gdzie się udał?

— Nie. Zwykle rano, wychodząc za swoimi interesami, nie używał automobilu.

— Czy powrócił na śniadanie o zwykłej godzinie?

— Tak.

— A podczas śniadania nie zaszło nic szczególnego, co zwróciło uwagę pani?

— Nie... Wzywano go tylko do telefonu.

— Kto to był?

— Nie wiem niestety. Dzwonek odezwał się w tym pokoju właśnie, gdzie siedzieliśmy, obok sali jadalnej. Służący wyszedł był właśnie do kuchni, więc miss Hopkins, która właśnie znajdowała się bliżej drzwi, wstała i pobiegła podjąć słuchawkę. Powróciła za chwilę mówiąc, że osoba, która wzywa bankiera Versigny, nie chce wymienić swojego nazwiska.

— Oh! To jest dosyć ważne! I ojciec pani zgodził się na rozmowę?

— Tak. Przyznaję, że mnie to zadziwiło trochę. Sądziłam, że nie zechce się fatygować dla osoby nieznajomej. Ale on, po krótkiej chwili wahania, powstał i udał się do drugiego pokoju.

— Czy słyszała pani, co mówił?

— Nie. Wychodząc, zamknął drzwi za sobą i powrócił bardzo prędko.

— Jak wyglądał, kiedy powrócił?

— Był tak samo niespokojny, jak przedtem. Ja zaś nie śmiałam go o nic zapytać.

— Co robił po śniadaniu?

— Kazał przygotować automobil na godzinę wpół do drugiej, lecz wychodząc zawołał szofera i powiedział mu, żeby był gotów na moje usługi.

W chwili, kiedy Michalina wymawiała te słowa, rozsunęła się nagle portyera, zakrywająca drzwi i do pokoju weszła wolnym krokiem wysoka kobieta, czarno ubrana. Twarz jej bladą o regularnych rysach okalały dwa pasma siwych włosów. Oczy jej jasne, jakby wyblakłe, patrzały badawczo i surowo.

Była to miss Hopkins.

— Podeszła do młodego literata, nie okazując najmniejszego zdziwienia i wyciągnęła do niego rekę, mówiąc serdecznym głosem:

— Kochany panie Bernac, przeczuwałam od wczoraj, że pan do nas przyjdzie, że pan nas nie opuści w tem nieszczęściu, jakie spada na Michalinę. Człowiek tej miary, jak pan, może nam być bardzo użyteczny w rozświetleniu prawdy.

— Sądzę, że dokonam tego — odpowiedział grzecznie Bernac — W każdym razie przyznać muszę, że żadna sprawa nie zainteresowała mnie dotąd w ten sposób, co ta właśnie. Oddam się jej też całą duszą.

— Nie napróżno pan Versigny uważał pana jako najcenniejszego swojego przyjaciela.

Bernac skłonił się w milczeniu.

— Droga miss Hopkins! — odezwała się Michalina — Pan Bernac powiedział mi wiele ciekawych rzeczy i zadał mi kilka pytań dotyczących mojego ojca.

— A ty odpowiedziałaś na nie z całą szczerością, kochane dziecko?

— Tak jest! — odparł Bernac — Ale skoro złożyło się tak szczęśliwie, że i z panią pomówić mogę, miss Hopkins, pozwoli mi pani zasięgnąć u niej informacyi.

— Z całą przyjemnością, kochany panie.

Miss Hopkins zeznała więc, że podjąwszy telefoniczną rozmowę, przeznaczoną dla bankiera, zauważyła natychmiast, iż osoba rozmawiająca zmieniła dowolnie głos swój, gdyż brzmiał chrapliwie i nienaturalnie. Człowiek ten powiedział dosłownie: „Wzywam bankiera Versigny z polecenia pewnej osoby, która pragnie się z nim bezzwłocznie porozumieć w bardzo ważnej sprawie.

— Chciałbym się widzieć z wujem pani, panno Michalino — rzekł Bernac, kiedy miss Hopkins zamilkła. Czy pani dawno mówiła z panem Gerardem de Lambriere?

— Telefonowałam dziś rano do niego, na ulicę de Courcelles, skąd odpowiedziano mi, że pana de Lambriere już niema w domu od dni kilku, ale że oczekują jego przybycia w najbliższym czasie, nawet może dziś jeszcze. Prosiłam, żeby go natychmiast przysłano do mnie.

— Miss Hopkins spojrzała na zegarek.

— Jest już druga godzina — rzekła — Czy życzysz sobie, Michalino, żebym cię poinformowała o powrocie twojego wuja?

Młoda dziewczyna spojrzała pytająco na Bernaca.

— Ależ i owszem, miss Hopkins — odpowiedział tenże grzecznie.

Angielka zbliżyła się do aparatu i zażądała połączenia. Po chwili głos jakiś zadźwięczał i nagle Bernac ujrzał, jak miss Hopkins, blada i przerażona, wypuściła słuchawkę z ręki i bezwładnie usunęła się na fotel.

— Co się stało, miss Hopkins? Co się stało? — zawołał Bernac, przyskakując do niej i instynktownie odsuwając drżącą ręką Michalinę.

— Mój Boże! — szeptała Angielka z trudem chwytając powietrze — Mój Boże! To nie może być! To przecież jest okropne!

— Ale co takiego? Miss Hopkins! Proszę mówić. Co za wiadomość odebrała pani? Co się stało?

— Stało się... nie... nie... to niemożebne... Michalino, bądź odważna, drogie dziecko... znaleziono pana de Lambriere powieszonego w swoim salonie...

„Samobójstwo" barona de Lambriere.

Pomimo zimnej krwi, która nigdy go nie opuszczała i wielkiego zasobu energii i silnej woli, wiadomość ta wyrwała okrzyk zdumienia z piersi Bernaca. A podczas, kiedy miss Hopkins z apoplektycznie czerwoną twarzą szeptała jakieś słowa bez związku i sensu — Michalina pozornie spokojna, powstrzymując tylko ręką silne bicie serca, wpatrzyła się przed siebie oczyma pełnemi zgrozy i smutku. Już teraz czuła dobrze, że żaden inny cios nie dotknie jej tak, jak niewytłumaczone zniknięcie ojca. Nieszczęście to, pierwsze i tak bolesne w jej życiu, zahartowało jej nerwy i duszę i uczyniło z dziecka prawie istotę dojrzałą, silną.

— Udamy się natychmiast na ulicę Courcelles, nieprawdaż panie Bernac? — przemówiła pierwsza spokojnym głosem.

— Co mówisz, Michalino? — zawołała przerażona miss Hopkins — My tam mamy pójść? I po co? Czy moglibyśmy znieść widok tak okropny?

— Panno Michalino! — odpowiedział Bernac poważnie — Podziwiam zimną krew pani i siłę, ale miss Hopkins ma słuszność. Taki przerażający widok wstrząsnąć może najsilniejszym i najzdrowszym człowiekiem. Nie pozwolę, aby się pani narażała w ten sposób i udam się tam sam. Obiecuję pani, że dziś jeszcze wieczorem powrócę z potrzebnemi objaśnieniami. Przeczuwam, że będziemy zmuszeni porozumieć się w niejednej rzeczy.

— Niech więc pan idzie, panie Bernac. Czekać będę na powrót pana z niecierpliwością.

. . . .

— Dzielna dziewczyna! — myślał Bernac, podczas kiedy automobil unosił go szybko w stronę mieszkania pana de Lambriere — Ale ta Angielka coś nie bardzo zaczyna mi się podobać. Może się uprzedzam, ale w oczach jej dzisiaj wyczytałem fałsz jakiś i jakby zaniepokojenie.

Kiedy Bernac przybył na ulicę Courcelles, zauważył przed domem, w którym mieszkał pan de Lambriere, grupę osób rozprawiających gorączkowo. Wieść o wydarzeniu musiała się już rozejść i sprowadziła ciekawych, żądnych silnych sensacyi. Dwaj policyanci stali w progu domu i z trudem bronili wstępu.

Bernac, wysiadłszy z automobilu, dał się im poznać i szedł już na czwarte piętro do mieszkania pana Lambriere, kiedy na schodach dogonił go pan Cambaux. Bernac spodziewał się go tu zastać. Wiadomość o samobójstwie pana de Lambriere musiała już dojść do szefa policyi, który wiedząc o pokrewieństwie, łączącem samobójcę z bankierem Versigny, musiał być silnie uderzony tym faktem. Cambaux przeczuwał napewno, że te dwie sprawy musiały mieć ze sobą łączność pewną i przybiegł natychmiast na ulicę Courcelles, spodziewając się również zastać już tam Bernaca.

Cambaux i Bernac dowiedzieli się natychmiast, że pierwszą osobą, która spostrzegła śmierć barona de Cambriere, był służący jego Felicyan, człowiek dobroduszny i cichy.

Znalazł swojego pana, wiszącego na jedwabnym sznurze rannego szlafroka, przytwierdzonym do żyrandola u sufitu. Ponieważ sufit był bardzo wysoki, desperat musiał się posłużyć stołkiem, który leżał porzucony na podłodze. Według opowiadania służącego, pan de Lambriere wyjechał był przed kilkunastu dniami do Szwajcaryi i zwolnił go ze służby, aż do swojego powrotu.

Felicyan skorzystał chętnie z tego urlopu i odwiedził siostrę, zamieszkałą w Bordeaux. Powrócił stamtąd właśnie dnia tego rankiem, aby przygotować mieszkanie na przyjęcie pana de Lambriere.

Zaraz na wstępie, wchodząc do sypialnego pokoju, został uderzony niemile widokiem rozrzuconego łóżka, które odjeżdżając pozostawił w zupełnym porządku. Przed komodą stał otwarty kufer barona, napół wypróżniony z rzeczy. Widocznie pan de Lambriere skrócił swoją podróż. Felicyan czuł się trochę niezadowolonym, że nie przewidział tego i nie powrócił wcześniej, aby przyjąć swojego pana za powrotem, ale wytłumaczył sobie, że nie było w tem jego winy, skoro otrzymał formalny urlop.

Z sypialnego pokoju udał się do salonu, gdzie ku przerażeniu swojemu ujrzał pana de Lambriere powieszonego u sufitu i nie dającego już znaku życia. Miał on na sobie tylko nocną bieliznę.

— Musimy sprawdzić słowa tego człowieka i nieobecność jego kilkudniową w Paryżu — szepnął Cambaux do ucha Bernaca.

— Ma się rozumieć — odpowiedział Bernac — i uczynić to musimy jak najprędzej.

Badanie dozorców domu nie przyniosło żadnego poważniejszego rezultatu.

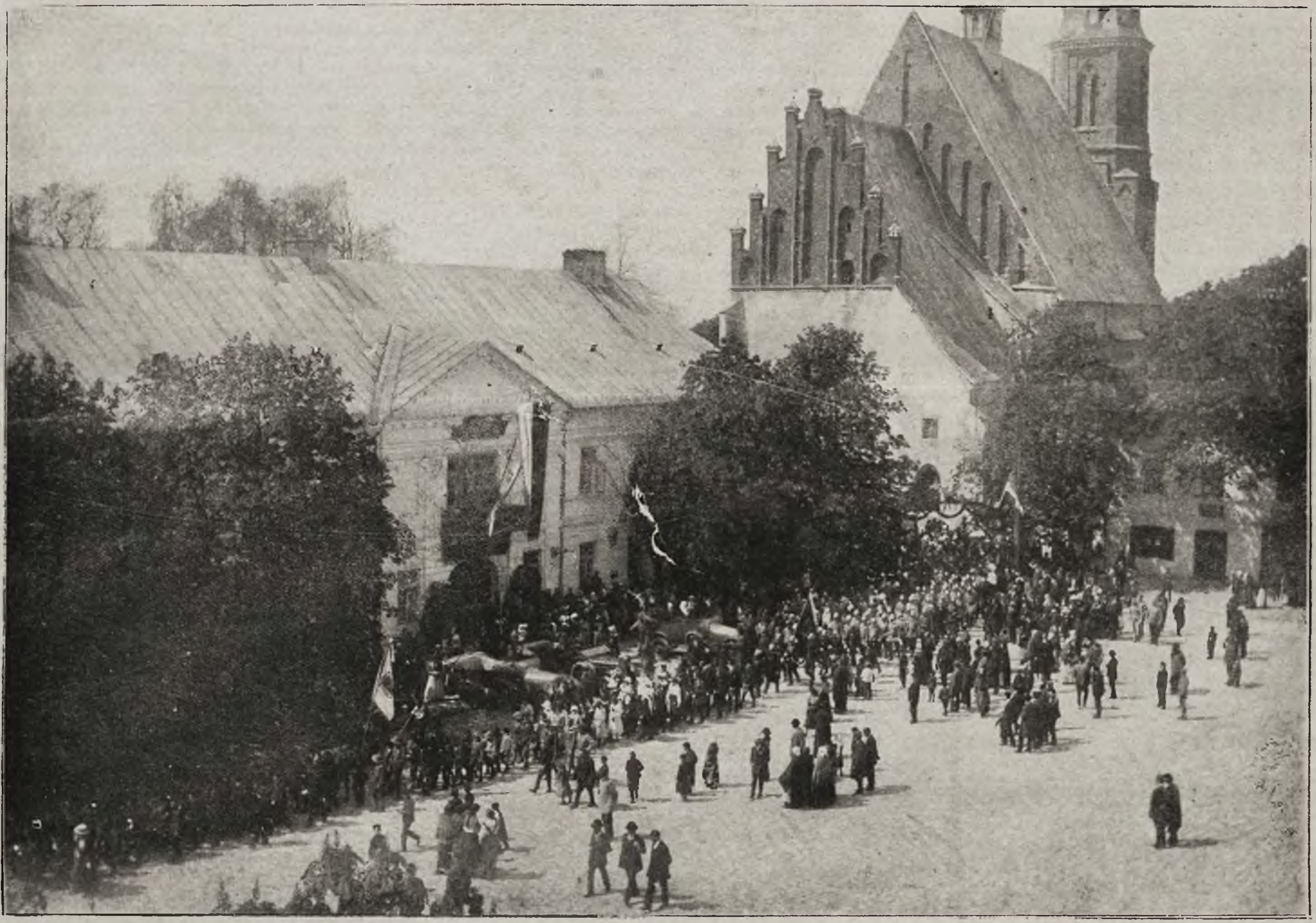
Byli tak przerażeni faktem, który miał miejsce w domu, strzeżonym przez nich od lat dwudziestu, że nie można ich było uspokoić i zmusić do spokojnego mówienia. Twierdzili tylko bez przerwy, że w domu tym mieszkali dotąd ludzie bez zarzutu, poważni i na stanowiskach, wybierani skrupulatnie przez właściciela i jeżeli ktoś tu umarł, co się nawet prawie wcale nie zdarzało, to porządną śmiercią, na własnem łóżku, bez rozgłosu i skandalu. Nie rozumieli więc, skąd panu baronowi de Lambriere przyjść mogła myśl podobna.

Od chwili więc, kiedy służący, odkrywszy śmierć swojego pana, wpadł do ich loży, wołając o ratunek, zacna para straciła zupełnie przytomność umysłu. Siedzieli oboje naprzeciw siebie, spoglądając z osłupieniem i zgrozą, nie śmiejąc wyjść, ani słowa przemówić.

Dzięki jednak cierpliwości swojej i łagodnej zręczności, Bernac po dłuższym czasie potrafił naprowadzić ich na drogę zeznań, zresztą nieważnych.

Dom posiadał przeszło trzydziestu lokatorów, nie licząc służby dosyć licznej. Naturalnie, że o wieczornej porze nie mogli rozpoznać każdego, przechodzącego obok ich loży. Tej nocy szczegolniej otwierali kilka razy bramę, ale że mogli to czynić za pomocą sprężyny, umieszczonej w ich mieszkaniu, bez potrzeby wychodzenia — więc wiedzieć nie mogli, czy pomiędzy przychodzącymi był i pan de Lambriere.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Trzeci Maja w Królestwie Polskiem: Pochód w Olkuszu



Trzeci Maja w Królestwie Polskiem: Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej w Olkuszu.

Kronika tygodniowa.

Akurat minął rok od chwili, gdy nasi byli sprzymierzeńcy, kataryniarze Włosi, którzy tylko swemu należeniu do trójprzymierza zawdzięczają wzrost i znaczenie, ulegając podszeptom koalicyi, wypowiedzieli Austryi wojnę. Miała im ona przysporzyć wawrzynów, stało się przecież inaczej, wiarołomstwo otrzymało nagrodę, na jaką sobie zasłużyło.

Rok cały urządzali Włosi tu i ówdzie ofenzywę, niestety, według sprawozdań jenerała Cadorny, mieli zawsze pecha, ale tylko dlatego, ponieważ warunki meteorologiczne były niepomyślne, a wiatr wiał im w oczy. Powinni byli to zrozumieć, iż jest to wskazówka, że mają się cofnąć, a wówczas ten sam wiatr, który im przeszkadzał, zasypując oczy piaskiem, zacznie dąć w odwrotną stronę medalu i pomoże do tem szybszego znalezienia się daleko poza linią bojową, gdzie już nie będą narażeni na kule, bomby, granaty i tym podobne wojenne nieprzyjemności.

Królowa Helena gniewała się i wzywała męża, by pokazał, że jest bohaterem, on uspokoił ją czule słowami:

— Helusiu! Poczekaj, koteczku! Wszystko będzie dobrze! Zanim rok upłynie, sytuacya na pewne się zmieni!

A jak dziś widzimy, miał racyę. A kto mu dopomógł, iż mogły się spełnić jego przyrzeczenia, dane rodzonej żonie, która żartować ze siebie nie pozwoli, gdyż w jej żyłach płynie mężna krew rodu Njeguszów, zapisanych chlubnie w dziejach Europy, jako wzorowi hodowcy... nierogacizny? Nikt inny, tylko Austryacy.

Rzecz zaś miała się tak. Ze względu na zbliżającą się rocznicę wojny i z powodu, że dotychczasowy bilans wojenny zapisał na karcie plusów nic więcej, tylko okrągłe zero, a narodowi trzeba przecież pokazać, że się coś robi, zaczęto sobie łamać nad tem głowy, jak uczcić dzień ten, tak dla zjednoczonych Włoch pamiętny. Projektów były setki, jeden wspanialszy od drugiego, żaden jednak nie przypadł do gustu inicyatorom, którzy w dniu tym pragnęli, by odbyć wjazd tryumfalny równocześnie do Tryestu, Poli, Trydentu i Gorycyi. Niestety, brakło im... pary.

W tym kłopocie dopomogli im Austryacy, pamiętając na dawny stosunek i urządzili im niespodziewaną ofenzywę, ale nie tam, gdzie Włosi chcieli i gdzie się na przyjęcie gości przygotowali. I nie pomogły natchnione słowa Annunzia, który przy dźwiękach kataryniki zagrzewał ich do męstwa, wskazując na dwie sympatyczne małpki, jedną przebraną za Francuza, drugą za Anglika i wołał: „Bracia! Bądźcie dobrej myśli! Oni nas nie opuszczą!“ Zatrąbiono do odwrotu, a wiatr wiał w plecy, więc ucieczka była tem łatwiejszą. Armaty i karabiny maszynowe zostawiono, jako niepotrzebny balast, przeszkadzający tylko w „nowem wyprostowaniu frontu“. Tak się bowiem nazywa ów odwrót. Trudno się chyba przyznać do sromotnej klęski, gdy się obiecywało tak wiele.

Jeżeli to „prostowanie frontu“ pójdzie dalej w tem samem, co dotąd, tempie, to, zdaje się, niewiele czasu upłynie, a panowie makaroniarze znajdą się za Padem, skąd już będą mieli całkiem otwartą drogę choćby nawet do Neapolu.

Królowa Helena, dowiedziawszy się o tych sukcesach wojsk włoskich, wezwała znów małżonka przed swoje oblicze i pyta:

— Więc to tak wygląda owa niespodzianka, którą przyrzekłeś mi na uczczenie rocznicy?

A on jej na to:

— Helusiu! Kochanie ty moje! Chciałem, ale cóż ja poradzę, iż oni mnie uprzedzili. Zresztą Cadorna pisał, że pogoda znowu nie dopisuje... Ale to się jeszcze odmieni! Wyprostujemy sobie front i będzie wszystko w porządku!

— Aj, ty, Menelausie! Ja jednak wiem, że, gdy zaczniecie prostować ten front, to skończy się na tem, że z apenińskiego buta nic nam nie zostanie, chyba podeszwa dziurawa...

— Może masz i racyę, Helusiu! Oj! Jaki ja byłem niemądry, żem nie chciał słuchać, gdy mi po dobroci obiecywano wyprostować cholewę. Ale cóż!... Ci Francuzi i Anglicy tyle mi naobiecywali!

— Naturalnie! Złote gruszki na wierzbie. Mogą obiecywać, gdy na nich cierpnie także skóra ze strachu.

— No, widzisz! Jeśli oni biorą w skórę, to dlaczego nie mam brać i ja?... Przecież jestem teraz ich sprzymierzeńcem i powinienem dzielić z nimi złą i dobrą dolę.

— Tak! Tak! Tłumacz sobie to, jak ci się podoba, ja zaś zacznę się pakować, by być przygotowaną na wszelką ewentualność.

— Masz racyę, Helusiu! Ty masz zawsze racyę! Jeśli będzie źle, pojedziemy do twojego taty do Francyi. On, choć nie posiada już swej Czarnogóry, nie stracił przecież fantazyi, owszem, rządzi jak za dobrych czasów, mianuje ministrów, wydaje ordzia, których nikt nie czyta. Zachciało im się Wielkiej Serbii lub Wielkiej Czarnogóry, mają z tego wielką figę!...

— Bo nie zabrali się do tego z taką energią, jak pan prezydent Leo do rozszerzenia Krakowa.

— Pisz sobie, jeśli masz ochotę, ale wątpię, czy się to zda na co?

— Hm, jeśli tak mówisz, to może lepiej dać spokój. Bo ty zawsze masz racyę, Helusiu.

— Niechbym tylko nie miała!

— Ma racyę! Widać, że to kobieta z temperamentem. Rób sobie zresztą, co ci się podoba, ja do polityki nie chce się mieszać. Nawarzysz sobie piwa, to je sam wypijesz, a tak, żądałbyś, bym ci pomagała...

— Swięte słowa! Zapiszę je sobie w notesie i wyuczę się ich na pamięć. Jak to dobrze mieć taką mądrą i energiczną żonę, jak ty, Helusiu!

— Nie trać jednak ducha, mój ty Menelausie i pamiętaj o tem, że jeżeli Cadorna będzie tak dalej front prostował, to nie pozostanie ci nic innego w rezultacie, jak twemu poprzednikowi, małżonkowi pięknej Heleny, tylko podróż na Kretę!

— Oby tylko wówczas wiał pomyślny wiatr...

Czy jednak Włosi i wszyscy razem do kupy ich sprzymierzeńcy zadowoleni są z tego rodzaju uczczenia rocznicy złamania słowa, w to bardzo wątpię, owszem jestem nawet prawie przekonany, że byliby zadowoleni, gdyby się było stało inaczej. Ale słusznie powiada przysłowie, że śmiałków psy gryzą, a kto wysoko lata, ten potem nisko siada i jeszcze potem narzeka, że go boli ta część ciała, która przy tej operacyi wchodzi z ziemią w bezpośrednią styczność. Wszak pierwsze dywizye włoskie, które miały przekroczyć Isonzo, otrzymały rozkaz, że mają się zatrzymać w Tryeście i tam poczekać na resztę armii, aby się potem dopiero ruszyć w głąb Austryi. Te piękne projekty, do których autorstwa nikt się dziś już nie przyznaje, nawet poeta Annunzio, pozostały przecież w sferze pobożnych życzeń, tak samo, jak przechwałki Rennenkampfa, obiecującego, iż w Berlinie będzie pił kawę, lub wyprawa wielkiego księcia Mikołaja na węgierski gulasz do Budapesztu...

Miał wówczas gulasz, ale pod Gorlicami, to samo mają dziś Włosi na granicy południowego Tyrolu. Dziś po niewczasie przychodzi refleksya, że się zrobiło głupstwo, które ma, bo musi mieć nieobliczalne następstwa.

A jak teraz wyglądają ci, którzy są właściwymi inicyatorami tej wojny i mieli na niej zrobić bryllantowy interes? A tymi są Anglicy, którzy zbyt poważnie zaangażowali się w tem niepewnem przedsiębiorstwie i teraz nie mogą się już cofnąć, by nie narazić kapitałów w to włożonych.

Oni nie tracą fantazyi, owszem nadrabiają miną, jak ów kupiec, który wie, że dziś lub jutro ogłosi bankructwo, ale nie chce tego dać po sobie poznać, by jeszcze więcej dudków złapać na lep. Jestem przekonany, aczkolwiek wielka polityka to nie mój fach, że Anglicy byliby bardzo zadowoleni, gdyby się tak udało rozpocząć rokowania pokojowe, ale nie wypada im samym z podobną propozycyą wystąpić, bo wówczas słusznie mógłby się ktoś zapytać:

— Ba! A dlaczegóż parliście do tej wojny, która zniszczyła całą Europę, a i wam dała się też porządnie we znaki? Spekulacya tym razem się nie udała, zawiódł was ów osławiony zmysł kupiecki, którym tak się zawsze szczyciliście... Jeżeli kto chce zrobić interes, musi postępować przedewszystkiem uczciwie, a o tem zapomnieliście sami i do nieuczciwości nakłanialiście innych, n. p. Włochów, którzy teraz za to ponoszą zasłużoną karę...

Angielskim politykom, różnym Asquithom, Greyom, Lloydom George'om przychodzą z pewnością nieraz na myśl tego rodzaju smutne refleksye, ale opędzają się przed niemi, niczem człowiek przed utrapioną muchą, która mu spokoju nie daje, ale siada raz na nosie, to znów na łysinie. Przed oczami przesuwa im się cały szereg osób, które dzięki ich polityce poniosły szkodę, a otwierają go trzej królowie bez tronów: belgijski, serbski i czarnogórski, (na czwartego mogą sobie dobrać Manuela portugalskiego) kończą zaś te rzesze głodnych, które skutki angielskiej polityki i walki o opanowanie handlu światowego, a wyrugowanie stamtąd Niemiec, czują na swych żołądkach. Nikt z nich, czy on w koronie na głowie, czy bez butów, nie poświęci Anglikom dobrego słowa, owszem, każdy może im tylko złorzeczyć i życzyć, by ponieśli zasłużoną karę za swe łotrowstwo.

Widzę, że zbyt uniosły mnie polityczne flukty, a bojąc się, bym nie utonął, kieruję się czemprędzej ku brzegowi, chciałem bowiem kilka słów poświęcić jeszcze innym sprawom, mającym tylko luźny związek z wyższą polityką. Widzę jednak, że miejsca mi znowu braknie, bo papier, aczkolwiek cierpliwy, nie jest przecież rozciągliwy, a gdy pan metrampaż raz powie, że więcej się już nie zmieści, to absolutnie „nie da rady“. Nie pomoże nikt, nawet pan Asquith lub Grey, ani pani Pankhurst wraz z wszystkiemi sufrażystkami, choćby największe robiły awantury!

A miałem pisać o różnych rzeczach, między innemi o sukniach damskich, coraz szerszych i bardziej fałdzistych, o nowej taryfie maksymalnej i potanieniu wieprzowiny, o trzecim dniu postu, końcu wojny, przeglądzie psów i koni, wystawie, teatrze... słowem *de omnibus rebus et quibusdam aliis.* A wszystkie mają coś wspólnego z wojną.

Nie przysięgam, że o tem napiszę w następnej kronice, gdyż tymczasem może zajść coś ważniejszego, ale na razie mam taką „dobrą a nieprzymuszoną wolę“.

Zresztą zobaczymy! Do następnego czwartku nie tak daleko!

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła Wisia Kostańska z Bochni.

Ano! Wezmę się do wiersza
Chociaż mama wciąż mnie łaje,
Że mój chłopiec *druga-pierwsza,*
Bo mu mało buzi daję.
I porzuci mnie, jej córę.
Tak, jak zwiędły wianek z kwiecia,
Ucieknie za siódmą górę
Jak ta płocha *pierwsza-trzecia;*
Druga-trzecia moja nóżka
Pewnie go już nie dopędzi,
Wiecie czemu taka wróżka?
Bo w *całości* biedak siedzi.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył E Winter, Stanisławów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

R. Edzio G. Dąb w nić i z tym! Ryś! Ryś!

Grzebieniówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy imię i nazwisko polskiego dramaturga.

☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Pospolity krzew 2. Słowiańska bogini. 3. Mowca grecki. 4 Gatunek korala 5 Minister Ludwika XIII. 6 Cesarz rzymski. 7. Roślina ogrodowa.

Szarada.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Pierwsze-drugie, materya droga,
Pierwsze-trzecie, dar to od Boga,
Który tylko człowiek posiada,
Całość zaś rzeka, co w Dunaj wpada.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię, przydomek i nazwisko współczesnego polskiego literata i krytyka.

☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Wódz grecki. 2 Filozof francuski. 3 Dostojnik kościoła greckiego 4. Wódz grecki. 5. Zakład naukowy. 6 Choroba 7. Ptak. 8. Bohater grecki z XIX wieku. 9. Imię żeńskie. 10 Zawód. 11. Rodzaj owocu. 12. Choroba. 13. Kwiatek 14 Imię męskie. 15 Tragik grecki. 16 Węglowodan. 17. Wyraz matematyczny. 18 Imię męskie. 19 Owoc. 20. Zboże. 21 Zabieg leczniczy.

Łamigłówka literacka.

Ułożył E. Winter, Stanisławów.

Znaleźć nazwiska autorów wyszczególnionych niżej dzieł. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego poety.

Flis?
Pan Graba?
Trubadurowie?
W Czarnym Lesie?
Chłopi arystokraci?
Historya J K. Chodkiewicza?
Jerzy Lubomirski?
Ramoty i ramotki?
Kordyan?
Historya o Krasnoludkach?
Ojcze nasz?

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O! Mój tata kaczki je! A krakać, a krakać nań!

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

A. I. Sydonska.

Celestyn Jerzy Prot O Z de Zipp.

Orcio Fort Z. Szymanek.

Aleksander Ł Kipicki.

Karol Miron Szczepan Łupky.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 20.

Łamigłówka literacka: Krzyżacy
Reduta Ordona.
Egmont
Chata za wsią
Hetmańskie pacholę
Otello
Wasyl Hołub.
Intryga i miłość.
Eli Makower.
Cudzoziemszczyzna.
Ksiądz Marek.
Irydyon.

Zadanie do przestawienia: Z cudzego wozu to złaź choć i w pół morza.

Logogryf:

K w a t e r a
O d y n i e c
N a r b u t t
S t a s z i c
T a d e u s z
Y u k a t a n
T r a u g u t
U k r a i n a
C h o r ą ż y
Y p s i l o n
A u s t r y a
T r a k t a t
R o k i t n a
Z a w i s z a
E l e k t o r
C z e ś n i k
I n w a z y a
E r z e r u m
G n i e z n o
O g i ń s k i
M a t e j k o
A p e n i n y
J u l i u s z
A u r e o l a

Zadanie do przestawienia: Droga do piekła jest dobremi chęciami wybrukowana

Kwadrat magiczny:

Z a d a r
A g a w a
D a w i d
A w i z o
R a d o m

Zadanie do przestawienia: Kto tylko o drugich stoi, tego bieda wydoi

Trójkąt magiczny:

P i r n m o w i c z
I n w o k a c y a
R e s o n a n s
A r k a d y a
M i l t o n
O p i u m
W i a r
I w o
C o
Z

Zadanie do przestawienia: Pańskie i cygańskie nigdy nie przepadnie.

Bilety wizytowe: Parasolnik Ptasznik Koszykarz Handlarz mydła. Śpiewaczka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów, M Golska Wiedeń. M Raczyńska Lwów, S. Zaleski Czerniowce, W. Nowiński Tarnów, R Wójcik Przemyśl, Z. Małecki Lwów, E. Winter Stanisławów, Z. Szymanek Nowy Sącz

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Zaleski Czerniowce.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Towarzystwo opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury w Krakowie. Straszna pożoga wojenna, która przez rok przeszło cały przesuwała się środkiem ziem polskich, szerząc zniszczenie, nie oszczędziła najdrogocenniejszych skarbów naszej kultury, którymi są pomniki sztuki, dzieła twórczego natchnienia i najgłębszej pracy duchowej przeszłych pokoleń. Uległo zniszczeniu i uszkodzeniu wiele ważnych zabytków, będących świadectwami starodawności, dostojeństwa i wysokiego poziomu naszej kultury i dokumentami jej historycznego rozwoju. Dość wspomnieć o znacznem zniszczeniu prastarej cysterskiej romańskiej świątyni w Koprzywnicy, o zupełnej prawie ruinie gotyckiej kollegiaty w Wiślicy, o średniowiecznych kościołach w Radłowie, Szczepanowie, Felsztynie, o spaleniu rezydencyi Żółkiewskich i Sobieskich w Żółkwi, o pozbawieniu wieży ratusza w Szydłowcu, o podpaleniu przez Rosyan Kazimierza nad Wisłą, miasteczka, które posiadało do dziś najwięcej staroświeckiego charakteru, o szkodach kościołów w Sieniawie, Jędrzejowie, Wysokiem Kole, Świętym Krzyżu i tylu, tylu innych, o kilkudziesięciu spalonych do szczętu malowniczych kościółkach drewnianych, o strasznej krzywdzie pałaców i dworów polskich, dość wspomnieć o tych rozlicznych dotkliwych ranach, zadanych naszej kulturze, by serce każdego głębiej czującego Polaka zadrgało głuchym żalem, bólem serdecznym.

Można żywić nadzieję, że społeczeństwo nasze nie ograniczy się do tego zainteresowania i odczucia straty, że świadome swej wielkiej przeszłości oraz swych względem przyszłości i ducha narodu obowiązków, nie odda uszkodzonych pomników sztuki na pastwę dalszemu zniszczeniu, któremu nieodzownie musiałyby uledz, nie otoczone jak najspieszniej staranną opieką. Naród, który przy całym bezmiarze nieszczęścia i nędzy, rąk nie załamał bezradnie, lecz wytęża energię do pracy we wszystkich dziedzinach i każdego dnia składa dowody swej żywotności, siły i ofiarności na potrzeby społeczne i kulturalne, złoży na ołtarzu dobra Ojczyzny grosz także na cele ochrony zabytków sztuki, które są nie tylko pamiątkami naszej świetnej przeszłości, lecz zarazem źródłami i podstawami dalszego indywidualnego i rodzimego rozkwitu naszej kultury.

W chwili obecnej, kiedy siłą faktów wytworzyły się na naszych ziemiach nowe nieustalone jeszcze warunki dla pracy kulturalnej, Towarzystwo opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury w Krakowie zamierza rozwinąć swą działalność szczególnie w południowej części Królestwa Polskiego, pozbawionej materyalnej opieki konserwatorskiej. Pomniki sztuki tej części Królestwa rychłej pomocy najbardziej potrzebują.

Na tym terenie legł prawie w gruzach jeden z najcenniejszych zabytków naszego budownictwa z początków XIV w. — dwunawowa gotycka kollegiata w Wiślicy: od pocisków runęło przepiękne palmowe sklepienie wraz z trzema unoszącemi je smukłemi kolumnami; ściany stoją jeszcze, lecz wobec znacznych rys i wyłomów rozsypną się i te resztki czcigodnych Kazimierzowskich murów, jeśli się ich natychmiast nie otoczy opieką.

Na przeprowadzenie robót ochronnych około zniszczonej kollegiaty w Wiślicy Towarzystwo pragnie przeznaczyć w pierwszym rzędzie zebrane fundusze.

W nadziei, że z wydatną pomocą pospieszy całe społeczeństwo, zwracamy się do wszystkich, którym droga jest nasza przeszłość i pomniki, z gorącem wezwaniem do składania pieniężnych ofiar Od woli społeczeństwa będzie zależeć, czy pozwolimy upaść pomnikom naszej potęgi i sławy, czy też spełniając obowiązek, który ciężka chwila dziejowa na nas nałożyła, dźwigniemy je z ruin i skarby sztuki, przekazane nam przez przeszłość, oddamy o ile możności nieuszczuplone pokoleniom przyszłym, jako całej ludzkości własność i dorobek kulturalny, którego nam strzedz przypadło w udziale.

Składki z wyraźnem zaznaczeniem dla Towarzystwa opieki nad zabytkami, na cele ochrony zabytków — przyjmują Administracye: „Czasu", „Głosu Narodu", „Illustr. Kuryera Codziennego", „Naprzodu" i „Nowej Reformy".

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego